Z prof. Grzegorzem Krzywcem, historykiem, rozmawia Przemysław Prekiel

Czy atmosfera nienawiści, jaka dotknęła Gabriela Narutowicza po wyborze na prezydenta, była zaskoczeniem czy konsekwencją realizowanej przez endecję polityki?
- To skomplikowane pytanie, gdyż wydaje się, że nawet dla samego prezydenta było zaskoczeniem. Nie spodziewał się, że w ogóle zostanie wybrany, nie był bowiem faworytem w wyścigu o prezydenturę. Kampania antynarutowiczkowska trwała w zasadzie od momentu wyboru 9 grudnia 1922 roku, była to konsekwencja typu uprawiania polityki od 1918 roku, czyli maksymalnie zmobilizować opinię publiczną. Kampania wyborcza była agresywna ze wszystkich stron, ale endecja miała rzeczywiście ogromny potencjał, właściwie nieporównywalny z nikim na ówczesnej scenie politycznej. Była to medialna machina, która funkcjonowała co najmniej od 1912 roku. To była prasa, ulotki, później także polityczna dezinformacja, dziś byśmy powiedzieli fake news. To wszystko zadziałało mistrzowsko, żeby zmobilizować ludzi.

Prym w tej kampanii wiodła prawicowa prasa, zwłaszcza „Rzeczpospolita", „Gazeta Warszawska" oraz „Gazeta Poranna 2 Grosze". Język antysemityzmu był tam zapewne obecny dużo wcześniej? Stanisław Stroński, czołowy antysemicki publicysta pisał „Ich prezydent", w domyśle „żydowski".

- To w przypadku tego publicysty jest bardziej subtelna konstrukcja. Był to mainstreamowy endecki publicysta. To jednak działało w dwóch wymiarach. Dla prawicowo-konserwatywnej opinii publicznej skandalem jest to, że mniejszości narodowe, a wiec Żydzi, ale tez Niemcy i Ukraińcy łącznie z lewicą, mogą stworzyć polityczną większość, która wybierze prezydenta, a potencjalnie też stworzyć rząd. Politykom prawicy nie mieściło się w głowie, że Blok Mniejszości Narodowych może być podmiotem w polityce, dlatego Stroński robi taką subtelną konstrukcję polegającą na tym, że Żydzi wybierają prezydenta, a przecież to sprzeczne z polską racja stanu. Oczywiście w tym drugim wymiarze, miało to ewidentnie podkład antysemicki.

Nie tylko jednak prasa szczuła przeciwko nowo wybranemu prezydentowi. Podgrzewali atmosferę również politycy, jak gen. Józef Haller czy ks. Kazimierz Lutosławski, obaj posłowie. Liczyli, że Narutowicz się podda, przestraszy?

- Na początku na pewno chodziło o to, żeby przestraszyć Gabriela Narutowicza i zastraszyć lewicowa opinię publiczną, zwłaszcza w Warszawie, bowiem to tu wszystko się rozgrywało. To miało ogromne znaczenie dla całej atmosfery

Dlaczego?

- W Warszawie było więcej studentów, więcej młodzieży, tu działało stowarzyszenie „Rozwój", które odegrało ważną role podczas tych tragicznych wydarzeń. Było to stowarzyszanie, które z jednej strony propaguje rodzaj samopomocy i samowystarczalności mieszczaństwa, ale robi to

przede wszystkim poprzez agitację antysemicką. Była to ewidentnie próba wywarcia presji poprzez budowanie atmosfery strachu i paniki. Po wyborze nowego prezydenta, o czym często się zapomina, doszło w Warszawie do sterowanego po części, ale również niekontrolowanego, pogromu antyżydowskiego. Bojówki endeckie, zwłaszcza studenci, biły na ulicach Żydów, manifestanci wybijali witryny sklepowe. Klub Związku Ludowo-Narodowego przy wsparciu zresztą całej prawicy starał się wywierać medialną presję, aby Gabriel Narutowicz nie przyjął wyboru. Do tego służyła ulica, przemoc i bojówki.

Jak na to wszystko reagował lider obozu narodowego, Roman Dmowski? Zazwyczaj jego rola jest w tym okresie pomijana, czy wiemy, jak reagował na te wydarzenia?

- Romana Dmowskiego nie było chyba wtedy w Warszawie. Już wówczas dość mocno dystansował się od polityki parlamentarnej. Jeśli jednak chodzi o jego wypowiedzi, to są jasne. Po morderstwie, jakiego dokonał Eligiusz Niewiadomski, w kilku miejscach wypowiedział się bardzo życzliwie o jego czynie. Sformułował taką tezę, że w Polsce potrzebny jest męczennik, fanatyk – postać, która swoim heroicznym czynem będzie w stanie przestawić sympatie opinii publicznej. Rola Dmowskiego jest o tyle dwuznaczna, że w tym czasie odmawia przywództwa w prawicowym zamachu stanu, a przypomnę, że w tym czasie działa już m.in. Pogotowie Patriotów Polskich, ugrupowanie prawicowych radykałów, które zwróciło się do niego o poparcie. Jest oczywiście antysemicko usposobiony, natomiast w tych wydarzeniach nie bierze żadnego udziału.

Tuż po zamordowaniu Gabriela Narutowicza prawica zaczęła się od niego odżegnywać, stawał się balastem. Co wiemy o Eligiuszu Niewiadomski, jako działaczu, sympatyku prawicy?

- O Eligiuszu Niewiadomskim w zasadzie wiemy już wszystko co najważniejsze. Do czasów rewolucji 1905 roku był związany z prawicą nacjonalistyczną. Przeszedł, jak sądzę, typową ewolucję poglądów, taką fascynację radykalizmem, to mu zostało. To był radykalizm czynu. Jego rola do czasu odzyskania niepodległości jest jednoznaczna. Sytuuje się po prawej stronie, po wojnie polsko-bolszewickiej wypowiada się już jawnie, często agresywnie antysemicko i zarazem anty-lewicowo. Z ustaleń parlamentarnego śledztwa, które przeprowadzono po zabójstwie, wynikło, iż Niewiadomski działał sam, choć część lewicowej prasy twierdziła, że miał wspólników. Okazało się, że spisku nie było, a brano to początkowo pod uwagę. Eligiusz Niewiadomski to człowiek z najwyższych elit kulturalnych Polski tego czasu, wybitny krytyk sztuki, malarz i propagator modernizmu. Był bliski idei faszystowskiej, etniczno-polskiej wspólnoty, o charakterze wprost antysemickim. W dużej mierze jednak jego poglądy pokrywały się z tym, co pisała prawicowa prasa.

Podczas procesu Eligiusz Niewiadomski powtarzał tezy o budowaniu przez Naczelnika Państwa „Judeo-Polski", oskarżał lewicę, że jest antypatriotyczna, twierdził, że państwu potrzebna jest „silna ręka". Ten proces miał być okazją do promowania prawicowych haseł? Na co liczył morderca?

- Wydaje mi się, że taki był jego zamysł. Obrońcą z kolei Niewiadomskiego był Stanisław Kijeński, działacz „Rozwoju". Próbował on przedstawić swojego klienta jako rodzaj

historycznego medium, które jest sumieniem narodu i wypowiada poglądy, które są zbieżne z większością narodu. Sam Niewiadomski stara się podczas procesu uczynić z siebie postać heroiczną i fanatyczną. Z pewnością chciał maksymalnie upublicznić swoje poglądy. Jeszcze w latach 20. XX wieku był czczony jako postać z galerii narodowych bohaterów. Na jednym z pierwszych zjazdów Ruchu Młodych Obozu Wielkiej Polski w Gdyni była obecna córka Eligiusza Niewiadomskiego, traktowana z wielka atencją i czcią. Nigdy nie stał się oficjalnym bohaterem, ale przez całe lata 20. w Wielkopolsce i na Pomorzu, w kręgach prawicowych i ziemiańskich, był traktowany jak bohater. Później jego rola była już w zasadzie wyłącznie symboliczna.

Po wykonaniu na Eligiuszu Niewiadomskim kary śmierci atmosfera zaczęła się zmieniać. Zauważalne było, że na prawicy jego czyn zyskuje uznanie. Odbywały się msze żałobne za duszę zmarłego, do jego grobu wyruszały ogromne pielgrzymki zwolenników. Nie było zażenowania, refleksji? Nikt na prawicy nie uznał tego za synonim wstydu?

- Nikt nie próbował, choć mam taką tezę. Otóż ówczesne przywództwo Episkopatu Kościoła katolickiego, uspokoili troszkę nastroje. W prasie dominowała atmosfera zażenowania, a po części też zmieszania. W dużej części prawicowego elektoratu czyn mordercy traktowany był aprobatywnie, w drugiej części z kolei, bardziej umiarkowanych, jest to bagatelizowane i zrzucenie odpowiedzialności na lewicę. Część prawicy powoli zdaje sobie sprawę, że ulica może być niekontrolowana, a wiec stać się czymś na co politycy mogą nie mieć wpływu. Dobrym przykładem jest tu Stanisław Stroński, który nie przeszedł ewolucji w stronę faszyzmu i został w latach 30. wyrzucony ze Stronnictwa Narodowego, politycznie zaś wspierał Front Morges. Była też taka refleksja, że stało się coś bardzo niedobrego. Został bowiem zamordowany demokratycznie wybrany prezydent, a ulica decyduje o polityce.

Szykowany był odwet przez piłsudczyków. Pisał o „akcji karnej" historyk Władysław Pobóg-Malinowski. Była to grupa oficerów Wojska Polskiego m.in. Adam Koc i Ignacy Matuszewski, przy pomocy PPS. Pacyfikował nastroje w partii Ignacy Daszyński, który był temu przeciwny. To była realna groźba?

- Nastroje wśród posłów socjalistycznych i części posłów chłopskich były faktycznie odwetowe. Była to mieszanka wściekłości i chęci odwetu. Panowała wówczas taka atmosfera. Ogromnie ważna była wówczas osobista rola Daszyńskiego, który nie dopuścił do rozlewu krwi. To jego wielka zasługa. Zauważmy na nazwiska, które chciały odwetu. To są jednak osoby, które w dużej mierze poparły prawicowy zwrot piłsudczyków w latach 30., m.in. Adam Koc, to wszak lider Obozu Zjednoczenia Narodowego o skrajnie prawicowym programie, który flirtował z Ruchem Narodowo-Radykalnym „Falangą". Rolę Daszyńskiego w tych wydarzeniach trzeba ocenić bardzo pozytywnie.

Jak zamordowanie pierwszego prezydenta zmieniło polskie społeczeństwo? Jak ta sytuacja wpłynęła na polską politykę?

- To dość skomplikowane. Na pewno to wydarzenie spolaryzowało polskie społeczeństwo. Duża część lewicy oraz liberalnej inteligencji zdała sobie sprawę, że agresywnego nacjonalizmu nie da się tak łatwo wykorzenić, że jest on organiczną częścią polskiej polityki, a nie tylko dziedzictwem zaborów, jak wielu sądziło. To ukształtowano w znaczący sposób zwolenników

Józefa Piłsudskiego. Wybory z listopada 1922 roku odbyły się kosztem liberalnej demokracji. Zwróciłbym uwagę na kilka partii o profilu demokratyczno-inteligenckim, które wówczas istniały, a praktycznie zniknęły ze sceny politycznej. Podobnie było z konserwatystami, których było w zasadzie jak na lekarstwo. Z kolei mniejszości narodowe spadły wówczas do przedmiotowej roli w polskiej polityce. Od tego czasu polska polityka, z krótkimi przerwami, ewoluowała bardzo w prawą stronę.

Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiał: Przemysław Prekiel

Grzegorz Krzywiec, historyk. Doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Autor publikacji „Szowinizm po polsku. Przypadek Romana Dmowskiego (1886-1905)”.